

Mozaika życia

Nikt dobrowolnie nie wybiera wygnania

– to opcja w sytuacji, gdy wybór się skończył.

FRAGMENTY

I

Wyjaśnia, że nazywa się Andrew Morrow, że ma dwadzieścia pięć lat, pochodzi z Melbourne w Australii. Mówi z wahaniem i dopiero po dłuższej chwili dodaje:

– Przyjechałem do Leningradu, żeby studiować mozaiki.

– Jest pan artystą mozaicystą?

Andrew wzrusza ramionami.

– Próbuję być.

Ze wszystkich plastycznie uzdolnionych uczniów w gimnazjum, a potem na uczelni artystycznej, nikt nie chciał zostać mozaicystą, jednak to bardzo rosyjska sztuka i z racji obecności Australijczyka tutaj – najwyraźniej słynna na całym świecie. Andrew mówi jej, że jest w Leningradzie od miesiąca. Wyjaśnia, że ma pozwolenie na zwiedzanie wielu miejsc, ale kolejne trzy miesiące spędzi głównie z mozaicystami, którzy restaurują sobór Zmartwychwstania Pańskiego.

– Cerkiew Zbawiciela na Krwi, jak ją nazywacie. – Milknie. – Zna ją pani, oczywiście?

Galina kiwa głową. Jak większość petersburżan darzy szczególnym sentymentem tę wielką świątynię w rosyjskim stylu stojącą w centrum barokowego i neoklasycystycznego Leningradu. Odporna jak rosyjski naród, przetrwała wbrew wszelkim przeciwnościom. Cudzoziemiec spogląda na nią wyczekująco. Jak ona ma się zachować? Rozmawiać czy nie rozmawiać? I czy to teraz robi jakąś różnicę? A potem pojawia się myśl, że teraz już nic nie ma znaczenia.

– Ta cerkiew, w której pan będzie pracował, ma burzliwą historię. – Galinie zaschło w gardle i tyka powietrze. – Na pewnym etapie służyła jako magazyn rekwizytów teatralnych. Później, podczas wielkiej wojny ojczyźnianej, była kostnicą, a po wojnie, gdy zmieniono ją w magazyn warzyw, stała się znana jako cerkiew Zbawiciela na Ziemniakach. – I wtedy wymyka jej się zuchwały komentarz. – Bez względu na to, czy chodzi o pałac, cerkiew czy człowieka, w Związku Radzieckim wszystko walczy o przetrwanie.

Straszne słowa zastygają w cichym, nieruchomym powietrzu. Co ona, u licha, sobie myśli, żeby wypowiadać tak nieostrożne słowa? I akurat do cudzoziemca? Ale nie myśli. W tym problem.

– Pani cerkiew została uratowana – mówi Australijczyk, najwyraźniej nieświadomy popełnionego przez nią błędu. – Wkrótce zostanie przywrócona do dawnej świetności. Galina rozgląda się dokoła, w zasięgu słuchu nie ma nikogo. Tym razem miała szczęście, ale raczej nie dostanie drugiej szansy. Musi być ostrożniejsza. Mężczyzna papie dalej o cerkwi Zbawiciela na Krwi. Uważa, że gdy prace się zakończą, będzie jedną z najpiękniejszych na świecie świątyń. I być może ma rację, ale ona i jej matka, jak wielu petersburżan, obserwowały, jak cerkiew jest przywracana do życia, podczas gdy ich nędzne bloki mieszkalne niszczały. Na przywrócenie świątyni do dawnego stanu wydano miliony rubli. Trudno było to podziwiać bez zazdrości. Kopuły były już odrestaurowane, sześć czy osiem z nich wyłożono jaskrawoniebieską i słonecznie żółtą emalią, mówi się, że również prawdziwym złotem. Niedawno – wiedziała o tym, nawet zanim powiedział jej to Australijczyk – rozpoczęto prace nad mozaikami, które pierwotnie pokrywały całe wnętrze cerkwi.

– Uwielbiam rosyjskie mozaiki – mówi nagle mężczyzna. – Tę różnorodność materiałów: szkło, porcelanę, nawet szlachetne kamienie. I detale, i skalę projektów. – Galina słyszy krótki, nerwowy śmiech. – Rosjan wydaje się pociągać rozmach.

II

Nadia nadal mówi o przyszłości, ale Galina nie słucha. Jej uwagę przykuwa twarz kobiety, tak znajoma, że nigdy wcześniej naprawdę jej się nie przyglądała. Wygląda tak, jakby do czaszki i szyi przyklejono worek jutowy, pozostawiając otwory na oczy i usta. Ta szorstka, żółtawa tkanino-skóra, opadająca w fałdach i zmarszczkach, jest mapą życia Nadii.

Ujawnia złe odżywianie i zbyt dużo wypalonych papierosów, zbyt mało pieniędzy i zbyt dużo wódki, zbyt dużo pracy dającej zbyt mało zadowolenia. Galina kocha Nadię, ale teraz nagle widok tej kobiety, którą znała całe życie, wywołuje straszliwy lęk: miałoby to być oblicze jej własnej przyszłości?

Co jej tu zostało? Nawet gdyby było można wycofać emigracyjne dokumenty, unikając kary, nawet gdyby pozwolono jej zachować posadę ilustratorki książek, nigdy nie awansuje w zawodzie. Noce i weekendy będzie spędzać w domu – o ile pozwolą jej tu mieszkać samej – malując obrazy, których nikt poza nią nigdy nie zobaczy. Pewnie pojawią się jakiś mąż i dziecko lub dwoje, których czeka przyszłość równie pozbawiona perspektyw i naznaczona jak jej własna. Jako Żydówka nigdy nie pozna swobód przynależnych innym radzieckim obywatelom, a tym bardziej tych, z których korzysta Zachód. Reformy Gorbaczowa, jak wszystkie, które je poprzedzały, nie przetrwają. Jeśli tu zostanie, wtedy to, co ma teraz – życie ciągnące się aż do śmierci – to najlepsze, na co może liczyć.

Nadia musiała zauważyć, że myśli Galiny są gdzie indziej, bo w końcu przestaje mówić. Dolewa im obu herbaty, zapala kolejnego papierosa i gdy znów się odzywa, jej głos brzmi łagodnie, życzliwie.

– Więc jak, Galia, co planujesz zrobić?

– Nadal mam zamiar wyemigrować. – Słowa wypływają z niej samoistnie.

Nadia wpatruje się w nią. Smutek i współczucie malują się na zmiętej twarzy i nagle zaczyna przeproszać. To niewłaściwe z jej strony, że poruszyła sprawę przyszłości. Na podjęcie decyzji jest o wiele za wcześnie. Lidija dopiero co zmarła, Galia jest w szoku. Teraz Galina bierze Nadię za rękę. Trzyma je delikatnie w swoich dłoniach. Jednak jej głos brzmi zdecydowanie.

– Mam zamiar wyemigrować... do Australii.

To słowo z trudem układa się w jej ustach. Postanowiła wyjechać do kraju, którego nazwy nigdy wcześniej nie wypowiadała.

Australia.

III

Dziewięć miesięcy po powrocie Andrew Morrowa do domu samolot Galiny Kogan schodził w kierunku lotniska w Melbourne. Zgodnie z przewidywanym czasem przylotu miała wylądować za kilka minut i ogarnęło ją takie przerażenie, jakby zdążyła na przesłuchanie przez KGB. Teren w dole był w większości niezamieszkały. Od czasu do czasu widziała dom, kilka stad krów, błotniste stawy i trawę, która wyglądała na równie martwą jak ta zimą w jej kraju. Nieograniczona pustka rozciągała się aż po horyzont. Galina przyjrzała się innym pasażerom. Czy widzieli to samo co ona? Czy obraz pustki był ich obrazem domu?

Sądziła, że Melbourne to milionowe miasto. Czyżby się pomyliła? Może Melbourne to australijski odpowiednik syberyjskiej osady? Samolot z wyciem silników podskoczył na płycie lotniska. Nadal nie było ludzi, pojazdów czy budynków. Nie było miasta. Samolot skręcił i stewardesa oznajmiła, że kierują się w stronę terminalu. Galina spojrzała przez okno. Wciąż widziała tylko brązową, pustą, wyschniętą ziemię. Nie mogła się pomylić co do wielkości Melbourne. Pochyliła się, żeby spojrzeć przez okno po drugiej stronie samolotu i ujrzała tę samą sztywną trawę, ponurą, płaską ziemię i puste niebo. Wtem, ku jej uldze, pojawiły się jakieś budynki – liczne zabudowania lotniska i wiele międzynarodowych samolotów stojących w szeregu przed bramkami. Tylko wielkie miasto mogło mieć duże i ruchliwe lotnisko i Galina zagłębiła się w fotelu, zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać, żeby pokonać strach. Ale ten w niej utkwiał. Rozsądek mówił jej, że za rok lub dwa stworzy swoje nowe życie, znane i łatwe do prowadzenia. Na razie jednak żałowała, że nie może przeskoczyć następnego roku albo, jeszcze lepiej, zapaść w długi sen, po którym się obudzi i poczuje, że jest w domu.

Przyszłość ją przytłaczała – jak znaleźć niedrogie mieszkanie, jak znaleźć pracę? – ale najpierw była pilna kwestia odprawy celnej i urzędu imigracyjnego. Czy uznają ten dokument podróży dla cudzoziemców, ten *titolo di viaggio per stranieri*? Miał pieczęć ambasady Australii w Rzymie, ale czy tu będą wiedzieli, co to jest? I czy potwierdzą jego legalność?

Wkrótce potem wręczyła dokument urzędnikowi. Spojrzał na niego i coś do niej powiedział. Nie rozumiała, co mówił. Powtórzył. Nadal nie rozumiała. Ten język nie przypominał angielskiego, jaki kiedykolwiek słyszała. Mężczyzna mówił dalej i w końcu pojawiło się kilka rozpoznawalnych słów. Galina chciała, żeby przemawiał wolniej, wyraźniej, ale nie ośmieliła się prosić o to urzędnika. Dzięki kilku słowom tu, kilku słowom tam rozumiała wystarczająco dużo, żeby odpowiedzieć. I widać musiała otrzymać pozwolenie, bo mężczyzna skierował ją do kolejnego urzędnika, tym razem kobiety, ale mówiącej tym samym niezrozumiałym angielskim. I najwyraźniej znów dostała pozwolenie, bo włoski dokument podróży został podstemplowany, a urzędniczka życzyła jej „powodzenia”.

Galina wyszła przez drzwi lotniska i natychmiast dostrzegła tabliczkę ze swoim nazwiskiem. Nie czuła, że jest w domu, ale też nie była zdana tylko na siebie.

IV

Na skrzyżowaniu zgromadziły się samochody. Światła zaraz się zmieniały. Trzeba go ściągnąć z jezdni. Ruszyła naprzód, ale Andrew pociągnął ją w tył. Uwolniła się, odwróciła do niego i przez chwilę stała zaskoczona wyrazem jego twarzy.

– Czego się boisz? – rzuciła bardziej oskarżenie niż pytanie i znów ruszyła na drugą stronę ulicy, ale jacyś mężczyzna i kobieta już pomagali facetowi usunąć się w bezpieczne miejsce.

Galina patrzyła, jak go prowadzą i sadzają na ławce. Był tak pijany, że ledwie mógł iść. Ta para do niego mówiła, a potem kobieta coś zapisała i pobiegła do budki telefonicznej. Mężczyzna podtrzymywał pijanego za ramię, by nie pozwolić mu spaść z siedzenia. Andrew również to obserwował, choć tak naprawdę nie widząc. Czuł się jak skończony głupiec.

– Wyglądałeś na przerażonego – powiedziała cicho Galina. Na jej twarzy wypisana była ciekawość. – Ten człowiek ledwie trzymał się na nogach. Jedyną osobą, którą może skrzywdzić, jest on sam. Czego się tak boisz?

Andrew nie miał odpowiedzi. Pijak był niski i drobnej budowy: nawet na trzeźwo nie mógłby zrobić nikomu krzywdy. Andrew wzruszył ramionami.

– Nie piję zbyt dużo – odparł. – I staram się kontrolować.

Wpatrywała się w niego, myśląc pewnie, że jest śmieszny. Trzeba było milczeć.

– Jesteśmy tacy sami – stwierdziła ze śmiechem. – Oboje wolimy się kontrolować.

Nadjechał tramwaj i wsiedli do niego. Milcząc podczas krótkiej jazdy, Andrew miotał się w odmętach swojej głupoty. Chciał być sam. Lunch nie wchodził teraz w rachubę. Mógłby zamrozić krewetki, awokado mogli zjeść innego dnia. Zaczął szukać wymówek, ale miał zamęt w głowie i wszystko wydawało mu się pozbawione sensu.

Galina, dla odmiany, próbowała go zrozumieć. Okoliczności wymagały od niej siły, która zmieniała empatię w pobłażanie, mimo to znalazła w sobie współczucie dla niego – nie

litość, ale życzliwość i pewne zrozumienie. Widziała, że w swoim oswojonym życiu czuje się równie niepewnie, jak ona w swoim nowym.

Przyszło jej na myśl, że najłatwiejsze rozwiązanie problemów, z jakimi borykała się jako emigrantka, to znalezienie Australijczyka i wyjście za niego za mąż. Byłoby to jednocześnie nietypowe wyjście dla osoby, która się szczyci swoją niezależnością.

Niemniej pokusa pozostała: małżeństwo dałoby jej paszport do australijskiego życia i zdjęło z niego dużo stresu.

Jednak nie chęć rozwiązania problemu poprzez małżeństwo podpowiedziała Galinie, by zadzwonić do Andrew – powodem była tylko desperacja, niemniej gdy tramwaj przetoczył się obok uniwersytetu i płynnie przyspieszył na torach przy cmentarzu, taka możliwość znów pojawiła się w jej głowie. Byłby łatwą do złowienia partią, jest typem mężczyzny, który dawałby więcej miłości, niż dostawał w zamian. Ta myśl błysnęła i szybko zgasła. Andrew nie jest człowiekiem, którego można wykorzystywać. A poza tym to artysta, a ona szanowała artystów.

– Chciałabym odwiedzić twoją pracownię – powiedziała bez zastanowienia. Szybko dodała: – Chciałabym zobaczyć twoje prace.